Lwów, 25. Stycznia. Nr 11. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata rocznie 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycyny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za nastęр. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wszyscy milczeli, ale po chwili rozmysłu rozwiązały się usta; zdania były bardzo podzielone. Jedni to ganili Turzonowi, że tak nań napadł i napłoszył go, dla pewności moralnej narażając pewność sądową, bo w nim mógł baczność obudzić; drudzy zaprzeczali całkiem, inni uderzeni prawdopodobieństwem za jedno z nim trzymali. Hałas się wszczął i rozprawy bez końca, ale ostatecznie uradzono wyczekiwać i milczeć, patrzeć, słuchać i więcej zbierać dowodów, gdyż te jakie miano, całkiem się zdawały niedostateczne.

Sam to zresztą Turzon uznawał i o sekret prosząc, oznajmił że do Wilna wyjedzie za dni kilka, jedynie dla dojścia o Hawnulu prawdy i szukania śladów jego, co pochwalono, a nikt się temu poświęceniu nie zdziwił, bo każdy na równe był gotów, tak zabójstwo tego nieszczęśliwego wszystkim zakrwawiło serca.

Hawnul jak się później dowiedziano, konie nająwszy świeże, mimo nocy ciemnej i złej drogi, choć zrazu nocować miał w miasteczku, do domu w godzinę po spotkaniu z Turzonem pospieszył.

Sądownie go wcale nie zaczepiono i tak to sobie przycichło, ale ludzi z Krasnego ujętych, nie puszczono na wolność i indagacye powoli się wlokły.

Nic też nie oznajmywało żeby się niemi bynajmniej miał troszczyć Hawnul, który stary swój tryb życia na nowo rozpoczął.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego teraz bardziej jeszcze, a położenie stało się najprzykrzejszem. Nie miał nikogo co by się chciał nazwać przyjacielem i dał mu jaki dowód przyjaźni, bo Wiła nawet służył mu chęcią tylko zysku powodowany, ale się z nim nie bratał, a posługując nawet czuć nie dawał dla czego to czynił. Nie podobna też by Hawnul nie domyślał się co go otaczało, jakie na nim ciężyły podejrzenia, jaka go zewsząd obejmowała niechęć, jak każdy krok jego, słowo, zmarszczkę nawet na czole szpiegowano. W każdej twarzy rozpoznać mógł obawę, nieprzyjaźń, wstręt a nawet pogardę, i choć z charakteru odosobnienia pragnął, musiał poczuć jak ciężko żyć w pośród nienawistnych ludzi.

Tymczasem nietylko majętność nabyta i obowiązki pracy, ale konieczność moralna przykuwała go do miejsca, z którego ruszyć się, nie obudzając swoją ucieczką nowych podejrzeń — nie mógł, choćby pragnął.

Zużel patrzał nań prawie z politowaniem, tak dalece od powrotu swojego do domu po ostatniej wycieczce stał się chmurnym, zamyślonym, i widoczniej niż kiedy nieszczęśliwym.

Z obłąkanego wejrzenia, z brwi nachmurzonych i ust wpadłych czytać było łatwo że w duszy jego leżała straszna jakaś tajemnica, jak rak wyżerająca mu piersi. Zobojętniał na gospodarstwo, na grosz który lubił, na to co go otaczało, i na przemiany spędzał godziny to w pokoju żony, to samotny gdzieś w gęszczach lasu lub ogrodu. Przychodzącego po dyspozycyą ekonoma zbywał lada czem, najczęściej kiwnieniem głowy i milczeniem, i jakby jego nawet oczów chciał unikać, ledwie mu się już okazywał, zostawując gospodarstwo i wszystko co wymagało stykania się z ludźmi na Pawła Zużla, który codzień ważniejszą stawał się w Krasnem figurą.

Zrazu przybywszy poleciał naprzód do żony z którą długo pozostał zamknięty, ale nazajutrz Zużla wziął na spytki i opowiadać mu sobie kazał co w jego niebytności zaszło, szczególniej śmierć Wilczury, o którą go badał kilkakrotnie. Lecz wyciągnąwszy zeń co było można, zamilkł jak kamień i więcej już ani tego ani innego nie tknął przedmiotu. Bywało choć zdaleka zagląda w gospodarskie roboty, teraz ani zajrzał i w sprzedażach nawet na ekonoma się spuścił.

Trwało to tak bez zmiany czas jakiś, a Filip Turzon pojechawszy do Wilna, jak w wodę wpadł. Przyjaciele nieboszczyka już się o niego kłopotać zaczynali, gdy Bruderkowski nareście umyślnym żydkiem odebrał wielki pakiet opieczętowany od Turzona, z nadpisem tibi soli. Pismo to jako zawierające nieobojętne dla nas szczegóły, w całości tu zamieszczamy, choć styl jego i układ nie koniecznie by na to zasługiwały.

Z Wilna dnia 12. octobris 18....

Jaśnie wielmożny panie dobrodzieju!

„Niewiem czym na to zasłużyć potrafił abym oddalony, w sercach tych, których przyjaźń i łaskę nad wszelkie

skarby świata przenoszę, pozostał przytomnym; to pewna, że na kraj świata nawet niefortunną zagnany burzą, dopóki by mi pamięć pozostała i serce w piersi niezastygłe biło, zawszebym dobrodziejów moich a braci, *ad ultimum lineam* stęskniony wspominał. Tem bardziej to dziś odzywa się, gdy co chwila przychodzi mi wśród swoich ale obcych, żałować tych których odbiegłem, a na których serca i przywiązanie i pomoc braterską rachować mogłem jako na Zawiszę. Nie będę się rozciągał z opisem przydługiej odyssei mojej do Wilna, i ciężkiego tu pobytu który by mi może słodkim był i stać się mógł nauczającym, gdyby nie obowiązki których brzemię na sobie dźwigając, muszę z największą ostrożnością i niedowierzaniem kierować kroki moje. Wiadomy jw. panu powód jaki mnie tu sprowadził, łacno więc pojmiesz na jakie narażony jestem szkopuły i niebespieczeństwa.

Zrazu niewiedząc do kogo się udać, a niemogąc celu podróży mojej objawić nikomu, błąkałem się tracąc dnie drogie i prawie desperując bym z plonem powrócił. Szczęściem spotkałem tu trafem krewniaka mego przez Piaskowskich, JMPana Hładkiego, który bawi w Wilnie od lat dziesięciu, zajmując się interesami Sapiehów. Może go sobie JWpan raczysz przypomnieć, boś go małym chłopcem widział nieraz w naszych stronach i polecił mi nawet abym go JWPanu submitował i odezwał się do łaskawej jego pamięci, którą sobie drogo ceni. Ten tedy człowiek postawił mnie na nogach i wprowadził na bity gościniec, którym jeśli nie do celu, to blisko niego dójść się spodziewam. Wprawdzie musiałem mu się zwierzyć wszystkiego, wziąwszy odeń szlacheckie i kawalerskie słowo, że nikomu o tem nic nie piśnie, ale pewien jestem, że *arcana* nasze w dobrych są rękach.

Przez tego tedy pana Hładkiego, tyle już wiem, że na początek starczy, byśmy ptaszka z Krasnego wykurzyli.

Zrazum go zaraz posądzał, że nie musi być szlachcic, bo żaden z nas nigdy niedoperzem nie był i po kątach się ciemnych nie chował. Aliście trafniej to odgadłem, niżelim się spodziewał. Na razie doszliśmy, że Hawnulów familja nie jest i nigdy nie była szlachecką, bo choć wedle przywileju Zygmunta Augusta magistraty miast głównych uszlachcone zostały, tandem przodkowie Hawnulów już od zapadnięcia przywileju tego na urzędach miejskich nie byli, a żadne prawo wstecznego mieć nie może działania, jak to na całem świecie przyjęto. Hawnulowie jak widać zawsze pokątnie chodzili i służyli, bo i w historji ich, o ile historyj mieszczanie mieć mogą, nie jasno i nie czysto. Dochrapali się majętności, potem ją utracili, a że pamięć trwała wysokich ich łask u panujących, i stanowisk jakie zajmowali, bo jeden nawet Namiestnictwo w Wilnie sprawował, nosili się jak szlachta, *nemine contradicente*. W różnych tedy fortuny przemianach trwali tak do dni naszych, podupadłszy nareszcie z kretesem na majętności, tak że kamienicę nawet ostatnią sprzedać musieli od nacisku wierzycieli. Ojciec naszego Hawnula *pauprem* się wychował u jezuitów, a podrosłszy, czy to że głowę miał tępą, czy że się na niej *patres societatis* niepoznali, wyszedł w świat bez opieki.— Służył tedy na dworze księdza Biskupa Wileńskiego, zrazu bardzo maluczkie zajmując obowiązki, potem coraz się pnąc wyżej, aż wreszcie gdy sobie zaufanie prałata zyskać potrafił i renomę *integritatis*, powierzony mu został zarząd majętności biskupiej, na której się chleba dorobił Tu on mieszczuk poznał kędyś pannę Salomeę Hułcewiczównę, dobrze urodzoną szlachciankę, tych to samych Hułcewiczów którzy są u nas i pieczętują się Brogiem. A udając szlachcica sięgnął po jej rękę, a że panienka była nie posażna, Hawnul majętny, w szlachectwo tak bardzo nie wglądano, byle szabla była u boku, ożenił się łyczak i spłodził syna, tego właśnie Samuela, który dziś w Krasnem siedzi.

Są dowody że *conditio* jegomości nie była ani pannie ani jej familii wiadomą, a zatem wedle prawa kanonicznego ślub nawet nie ważny i co z tego idzie, dzieci spłodzone nieprawemi by uznać można. Ale to mijam, bo nie do prześladowania dążę, tylko do wymiaru sprawiedliwości.

O ile dotąd zasięgnąć mogłem wiadomości po ludziach, Samuel Hawnul nie dla czego innego z Wilna i okolic w których był znany uciekać musiał, jeno z powodu, że tu by był na gardle może za swe zbrodnie karany.

Po ojcu odziedziczywszy chleba kawał dostatni, choć grosz miał, z początku się na rządzie majątku kapitalnego trzymał, aż o złodziejstwa i fałszerstwa wyrzucony zeń został haniebnie, i gdyby nie litość duchownych, umarł by był *in fundo* gnijąc bez ratunku. Dobrodziejom się swym tak odwdzięczył, że włosy na głowie powstają, bo gdy ślad występku na klęczkach wymodlił że zniszczono, pozwał ich o pretensje jakieś i niecnemi środkami do opłaty znacznej summy przymusił.

Mijam i to jeszcze, a przychodzę do najważniejszego. Jako to widać człek był zawsze gwałtownych i niepohamowanych namiętności, żony też po bożemu nie nabył. Osiadłszy w Wilnie, choć osławiony, miał i takich co go za zapłatę białym czynili i jakoś się do domu uczciwego szlacheckiego, którego nazwisko pominę, wkręcił, kędy poznał dzisiejszę żonę swoją. Panna mu w oko wpadła, a może i majątek, bo po niej do trzech tysięcy czerwonych złotych obiecywali przyjaciele, chociaż intencją było rodziców dla pomnożenia fortuny syna, aby jejmościanka do klasztoru wstąpiła. I już się to było złożyło, czemu i panna przeciwną nie była, gdy ów kawaler się zjawił i przez rodziców do domu wpuszczony został pod pokrywką niewinną. Środków jakich użył niewiem, to pewna, że się na tem skończyło, iż pannę już do klasztoru oddaną, ze zgorszeniem powszechnem i wstydem dla rodziców nie małym porwał, gwałtem z miejsca poświęconego, z pomocą przyjaciół, którą sobie zaślubił, księdza do tej czynności takiego jak sam sobie dobrawszy.

Nie inwalidowała familia małżeństwa tego aby imieniowi zacnemu plamy nie czynić, ubito sprawę w milczeniu, a rodzice się dziecka wyrzekli, jakby go nigdy nie mieli, i imienia jego zapominając dobrowolnie. Były tentacje zgody kilkakrotne, był proces intentowany przez Hawnula, ale przy nim tyle nań poczęło się okazywać czernideł, a familja ważna tak chodziła około przytłumienia rozgłosu, że zagrożony imfamią, nieszlachectwem i świętokradztwem, Samuel uciekać i wynosić się musiał, na co zresztą dozwolono, byleby im zszedł z oczów i wstydu nie czynił.

To tedy pierwsza część tycząca się przeszłości, ale nie na tem koniec, bom wszystkie kroki śledzić musiał, kędy się temi czasy obracał. I nie mogło być inaczej, chcąc się przekonać czyli w istocie słuszne były podejrzenia moje. Otóżem doszedł naprzód, że z wielką usilnością zacierał za sobą ślady, co już według mnie dowodzi, że miał jakąś przyczynę ukrywania swoich czynności, powtóre że w Wilnie ledwie się ukazał, niemając tam żadnej pilnej sprawy i interesu, a czas nieobecności swej spędził między Różaną a Słonimem, na jakichś tajemnych praktykach. Wszędzie gdzie był, furmanów i stancje mieniał, z oczów znikał i gdzie się całemi tygodniami dziewał, dójść nie podobna. Nie rozpaczam że się jeszcze więcej czegoś dowiem, ale dotąd niemogłem, dla mnie zaś i ta szczupła garstka wiadomości już przy wewnętrznem przekonaniu mojem o winie, zdaje się Boże odpuść, dostateczna do potępienia. Całe życie świadczy przeciw temu infamisowi, który wszył się w szlachtę naszą, zakałę jej czyniąc braterstwem swojem.

Czyli dość zebrałem podejrzeń, aby za moim powrotem można akcje sądownie przeciwko niemu rozpocząć, o tem zostawiam sobie czas do namysłu i narady z JWPanem i panami bracią, na których świetle polegam. Sam zaś rychło stawić się nieomieszkam, nie mając tu już tak dalece nic do czynienia jak skoro dokumenta tyczące się profuga pozbieram czarno na białem.“

Taki był list Turzona i nie mało dał do myślenia podsędkowi, a że w końcu zawierał prośbę, aby pilnie zwracano oko na Hawnula, musiał Bruderkowski przedsięwziąć środki śledzenia każdego kroku jego. Żużel się na szpiega nie przydał, i trudno było na tę funkcją kogoś wynaleść, krom jednego Wiły, którego wedle opinij powszechnej każdy mógł kupić kto chciał. Ale do tej czynności brudnej choć potrzebnej a nawet do tentowania jej, nikogo znaleść nie było można; każdy się otrząsając wymawiał, a wielu mówiło, że lepiej od razu Hawnula uchwycić, niż się do takich uciekać środków.

Naradzano się długo, i nic nie uradzono, gdy do tego *conventiculum* tajemnego przyjaciół nieboszczyka Wilczury nadszedł jedyny człowiek, który najwięcej mógł być im pomocnym w robotach takich, które powalaniem się groziły. Nie był to wcale skrupułat, chociaż zresztą nie zły człowiek, ale tak go pan Bóg stworzył, że z tego nad czem inni gdyby się im trafiło, płakali, śmiał się tylko i urągał.

Był to szlachetka odłużony, nie wielkiej fortuny, zawsze w kłopotach o grosz powszedni, posiwiały i wyłysiały w biedach, poczciwego serca, ale taki hulaka, że by był ojca i matkę rodzoną zastawił, byle miał za co pić, tańczyć tłuc się po jarmarkach i końmi szachrować. Nie jednego brudu gotów się był dotknąć, kiedy mu grosza zabrakło, a grosz potem przez okno rzucał jakby go miał bez liku, zarówno na dobre jak na płoche uczynki, połowę ubogim, połowę łotrom i swawolnicom. Taki był jakiś nieład w tej nieszczęśliwej głowie, że i sam widział co robił złego i śmiał się sam z siebie i nazajutrz brnął znowu tym samym tropem co wczora. Zwano go tam pospolicie Jackiem Szaławiłą, chociaż nazwisko miał piękne i do uczciwej rodziny należał, ale życie mu ten przydomek tak przylepiło do twarzy, że ledwie kto wiedział, jak się wabił, a i sam nieznajomym Szaławiłą się przedstawiał, na wpół żartem, jakby czując że honoru domowi, do którego należał nie czyni.

Pomimo wad i słabości swych, Jacek do sekretu, gdy go kto na szlacheckie słowo zaklął, taki był dobry jak inny. Nie wahano się wziąć go do rady, do której się wmięszał z wielką ochotą usłużenia, spodziewając się że mu się coś oberwie przy tem na hulankę. Gdy tedy przyszło do tego żeby Wiłę od Hawnula oderwać i przekabacić go na stronę przyjacioł Wilczury, pan Jacek zaraz się bardzo żwawo ofiarował do niego.

— Z waćpanów delikatni ludzie, odezwał się śmiejąc, gdy przyjdzie żabę albo węża brać w ręce, musicie widzę rękawiczek lub ręki cudzej pożyczać; ja nie taki jestem wymyślny i do brudu się dotknąć nieboję, bom go dużo na świecie nawąchał. Więc jeśli potrzeba do Wiły, tom gotów i poradzę, mając z nim dawną żażyłość. Prawda, że człecze nie ciekawe, ale i tacy i gorsi jeszcze się trafiają, a cóż im zrobić kiedy o nich się ocierać potrzeba? Jakoś to ja do niego trafię, ale proszę o uchwalenie *laudum* i instrukcją co mam z nim począć.

Instrukcją tę zawarto w kilku słowach, żeby jakimkolwiek sposobem Wiłę pozyskać i uczynić go niejako dozorcą nad Hawnulem tajemnym.

— Wiłę kupić kupiemy, ale nie słowy, odparł pan Jacek, który może sam także miał w tem jakiś rachunek, grosza potrzeba, to go waszmościom związanego złotym rzemykiem przyprowadzę.

— Grosz będzie, rzekł Bruderkowski, to się waszmość nie frasuj, byleś potargował. Zażądał jeszcze Jacek, pewnego *quantum* z góry na koszta roboty, i otrzymawszy czerwonych złotych kilka, drapnął z niemi nie zwlekając.

(C. d. n.)

USTĘPY Z POEMATU „PODRÓŻ PRZERWANA".

II.

Otóż nasz porucznik w skutek tych miłości,
Człowiek zwykle cichy, miał wybuchy złości,
W jednej chwili zadrżał, i klął niedorzecznie,
Jeśli jaką pannę kto chwalił zbytecznie,
Lub działo nie jego. Te dwa ideały
I w sercu i w myśli tak mu się splątały,
Że w gniewu zapale obydwóch przymioty
Mieszał najpocieszniej. Obozowe trzpioty,
Często przy ognisku, gdzie kotła pilnował,
(Bo porucznik także dzielnie kuchmistrzował),
Wszczynali gawędę to o tem, to owem,
O bitwach przebytych, o życiu pułkowem,
Aż wleźli na działa; więc jeden dowodzi,
Że niechaj kto zechce całą armję schodzi,
To niema jak działo w baterji Puzyny;
Harmatka niewielka, a pyszczek gadziny
Kiedy ją grającą ujrzał sam Jenerał,
Aż skakał z radości, aż ręce zacierał,
I mówił, że inne podobne do szaret,
Nie strzelać im w boju, lecz wozić lazaret.
W tem drugi przerywa: „O działach, o bitwie
Czas bajać po wojnie; śród wojny koledzy
Mnie sercem zawraca do ojcowskiej miedzy.
Ot plotą, że piękne dziewczęta na Litwie,
Bo Pińczuk je chwali. — ach! perła niewieścia —
To moja jedyna dziewczynka z pod Brześcia,
Jej równej nie było i nie ma na świecie;
Błysnęłaż mi w oku podobna komecie!.."
Aż nagle porucznik wybucha; „Młokosy!
Półgłówki zielone, nieotarte nosy!
(Często było gorzej) wam sądzić co piękne?
Myślicie, że z moją porównań się zlęknę?
Z Litwy była rodem — przez piekła otchłanie!
Niewinna jak dziecko, zgrabniejsza niż łanie;
A jaki tam zapał! a jaki kaliber!
Mniej włosów na głowie, co ona główzmiotła,
By spisać ten rejestr potrzeba sto liber,
Do krocset..." Tu wszystką zupę wylał z kotła,
„Do diabła wieczerza i wasze przyjaźnie! —"
— „Ależ poruczniku pofolguj..." — „Milcz błaźnie!!..."
Ah! pardon — bezkarnie nie znoszę afrontów..
Wyzywaj na rękę do krocset stu lontów!"
I odszedł—a młodzież od śmiechu się kładzie.

I wy mnie za język ciągniecie ku zwadzie?
Cierpliwie, pokornie od godziny słucham,
Jak mi obce ziemie, nieba wychwalacie,
Jeśli porucznika trybem nie wybucham,
To tylko jedynie podziękować macie,
Że siedzę w salonie, a nie na harmacie.

Oh! bo i ja kocham, kocham bez podziału —
Tę ziemię serc miękkich śród wichrów i lodów,
. . . .
. . . .

Jam żołnierz panowie i kocham ją wiernie;
Nad róże sarońskie przenoszę jej ciernie,
Nad włoskie bakalje smaczniejsza mi rzepa:
Przyznajcie, że piękna to miłość choć ślepa.
Za słupy Chrobrego kroku nie zrobiłem,
Nie zwalałem nogi obcej ziemi pyłem,
Nie zbrukałem piersi obcych nieb oddechem,
Dziewiczy wskroś jestem; patrzacie z uśmiechem?
Bierzecie zasługi moje za dziwactwo?
Nie sądźcie przed czasem: — nocleżne my ptactwo!
I kiedy za groby poniosą nas loty,
Bóg mi te dziwactwa policzy za cnoty:
Wam każe w tęsknocie po gwiazdach uganiać,
Nad moją ojczyzną ja będę się słaniać.

Inni po Paryżach i po Neapolach,
Ja wojażowałem po ojczystych polach
Na koniu, przy dziale . . . . . .
. . . .
W odmiennych zamiarach szliśmy drogą sprzeczną,
Toż odmienne straty ponosim z podróży;
Oni tracą nosy a ja tylko rękę,
I to lewą rękę, — niezgrabną, zbyteczną.

Wszak i ja kadziłem przy waszym ołtarzu,
I jam raz serdecznie zapragnął wojażu;
Byłem bardzo młody, w głowie mi świtało,
Gdy mnie ta gorączka napadła, — o mało
W tych szalonych chęciach nie uległem zdrowiem,
A jak je przerwałem, właśnie wam opowiem:
. . . .

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Z dobrych dobrzy się rodzą, wnuk przodków nie wydał,
Lecz do sławy dziedzicznej i swą własną przydał.
Jan Kochanowski.

Na uboczu tych prądów społecznych, które po kraju w różnych szumiały kierunkach, z dala od owych w odmęt porywających wirów, stał młodzieniec z twarzą wybladłą, i swobodnym wzrokiem śledził pasmo wiążących się wypadków. Nie mając w żadnem ówczesnych wydarzeń osobistego udziału, poglądał na czas swój bez uprzedzenia i bez owej mgły fałszywej, w jaką odziewa się źrenica zranionej dumy, lub zagrożonej namiętności osobistej. Na takiem stanowisku miał on serce spokojne, a jeźli kie-

dy żywiej uderzyło, to tylko z bolu, lub roskoszy złotych nadziei! Z bolu, gdy w swobodnie odbitej perspektywie swego sądu, widział koniec tych rzeczy, których początek dopiero na ziemi się odbywał; z rozkoszy nadziei, gdy uniosłszy się duchem w krainę marzeń, ujrzał tam żywe postacie tych wszystkich myśli i snów, które wypieściła młoda, ognista jego wyobraźnia.

Przeszłość młodzieńca nie była jeszcze zbyt odległa, bo zaledwo od dziesiątka lat mogła się liczyć, pominąwszy lata dziecinne, a przecież stanowiła w jego umyśle pierwszy akt rozpoczętego dramatu życia, który sobie założył jako cel ostateczny. A przecież przy zamknięciu tego jednego aktu, zdawała się opuszczać go odwaga, a ręce wzniesione do pracy, opadły bezwładnie, jak by im siły zabrakło.

Zabrakło też siły młodemu marzycielowi, gdy ujrzał z bliska społeczeństwo swoje, gdy poznał jego wady, choroby i zdrożności. Zabolał w sercu, które omdlało, i zachwiał się na chwilę w jedynem, a wyłącznem przedsięwzięciu swego żywota.

Bez znakomitości rodu i pozycyi społecznej, tułał się biedny młodzieniec pomiędzy możnymi i znakomitymi, szukając tamże zasobu do dalszych prac swoich. Wiele dla tego mógł widzieć zbliska, mógł w cząstkach pojedynczych studyować to, co zebrane razem tworzy dla gawiedzi oddalonej, fantastycznie światłem tęczowem obrzucone postacie. Jakiż skutek miało to doświadczenie? Oto z życia miękkiego i pełnego roskosz i uciech światowych, z pałaców możnych i znakomitych, ucieka młodzieniec, jak niegdyś uciekał asceta-wyznawca, aby daleki od oblicza gorszącego świata, w swobodnem rozmyślaniu przepędzić ten krótki czas pielgrzymki ziemskiej.

Lecz taki ustęp życia wydawał się młodzieńcowi egoizmem ducha, a on chciał żyć i pracować dla swego społeczeństwa, chciał się modlić za nie nawet wtedy, gdy go ono na krzyż wbić miało, gdy chciało krew jego serca wytoczyć!

Toż zebrał młodzieniec grosz, pracą zarobiony, dla ojczyzny porzucił ojczyznę, aby w dali, w zaciszu gdzieś, pracować dla niej, o niej marzyć, i zidealizowanym jej obrazem pieścić swą duszę, tak gorącą, tak namiętną! I jaśniej odbiły się w oddali wdzięki jego kochanki, tem goręcej przyciskał ją myślą, tem więcej pracował nad sobą, aby się niegdyś stać godnym jej oblubieńcem.

Nieszczęsny! on nie wiedział, że serce jego bije dla niewdzięcznicy, że odwróciwszy oczy od niego, pójdzie za blaskiem rzeczy znikomych, jak niewiasta zalotnica, a pójdzie na zgubę swoją!

A gdyby nawet i tak się stać miało, on poprzysiągł tej kochance miłość dozgonną, płakał nad jej zdrożnościami, lecz ją kochał sercem i duszą, bo ta kochanka była — ojczyzna jego.

Lecz jakaż miłość nie ma chwil zwątpienia, któryż umysł wyniosły był wolen takowych, czyjeż serce nie zabrzmiało nigdy rozstrojem? Otóż i młodzieniec miał chwile zwątpienia.

Przebiegłszy myślą krainę ducha i wszelkich jego tworów, przeszedłszy ziemię i wszelkie jej światła ogniska a wypróbowawszy w nich swoje złoto rodzime, wracał do ojczyzny ze skarbami, które jej chciał złożyć nie jako lichwiarz, ale jako syn wdzięczny i dla niej wylany.

Atoli uczuciu temu nie stało się zadość. Na czele społeczeństwa stanęli ludzie krótkiego wzroku, bo nad swoją osobistość dalej nie widzący; ludzie żywota jednodniowego, którzy niepojmując jutra, używali chwili obecnej, a w szale użycia zamknęli oczy, aby nie widzieć walącego się nad ich głowami stropu budowy ojczystej. Zajęci korzyściami rodu swego, nie spostrzegli, że do ogółu społeczeństwa swego stanęli w stosunku odwrotnym, że porównywając swoje osobistości z całym narodu organizmem, niebyli niczem innem w obec tego olbrzyma, jak muszką efemerydą! A przecież owe muszki-efemerydy roztaczały ciało olbrzyma!

Zapłakał gorzko młodzieniec i podupadł na duchu. Na poddaszu najbiedniejszej Warszawy ulicy, schował siebie i swój smutek przed światem. Tam chory na sercu i duszy przepędzał dnie swoje w gorączce, to się zrywając jakąś siłą nadnaturalną do pracy, to upadając znów w niemocy i bolejąc nad zwichnionem życiem swojem.

— Gdybym był został rzemieślnikiem, rzekł razu jednego do siebie, gdy w okno jego poddasza, wcisnął się pierwszy promień jesiennego słońca — wstałbym dzisiaj z trzeźwym umysłem do pracy, a wychwalając Boga, pracowałbym dla mojej rodziny, czterma ścianami objętej. Ale ja zapragnąłem wyższego rzemiosła, duch mój objął warstwy całego społeczeństwa, i aż po krańce ojczyzny mojej rozparł ściany rodzinne. Ognista myśl rozszerzyła moje ramiona do uścisku ojczyzny, a mnie zdawało się, że jestem kolosem rodyjskim, że w dłoni mojej zapalę światło żeglarzom zbłądzonym — a ja tymczasem umieściłem całą ową wymarzoną wielkość na poddaszu ulicy najbiedniejszej! Urojona moja rodzina nie zna mnie, a serce moje chciwe uścisku, trętwieje i ścina się jak woda, gdy jej ciepła zabraknie!. Ojczyzno biedna! czyż wiecznie będziesz owym potworem, połykającym własne swe dzieci, a nigdy nie nasyconym! Tyle cnót, tyle ofiar, tyle bohaterów, a wszystko bez jasno wytkniętej myśli, bez obliczenia na przyszłość, bez owego wzroku, który umie czytać w piśmie siedmiu pieczęci bożych! I cóż to widać w tej przyszłości?... Oto wyleją aniołowie czarę gniewu bożego na ziemię, a nieba zwiną się jak księgi zapisane — i zawieją wiatry, a węgły ziemi zadrżą, a anioł sądu w trąbę uderzy. I płakać będą swoi na swoich i narzekać na żywot matek, że ich zrodziły, na Boga, że ich stworzył....

I stanął w oknie młodzieniec, ze wzrokiem w przyszłość

widzącym, i cudnie wyglądał w swem przemienieniu, jak smutnej lutni, wieszczący Jeremiasz. Wszakże szybko ocknął się z tego wrażenia bolów chwilowych, i jakby się wstydził swojej poufnej spowiedzi, chwycił czem prędzej za leżące na skromnym stoliku książki.

Wszelako nic z nich nie odczytał, bo właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi izdebki, i gość jakiś wszedł do niego.

Był to mąż średniego wzrostu, mocno przygarbiony, rysów wydatnych, i ostro ciętych. Nad jasnem jego okiem zbiegały się w dwa grube pasma, liczne zmarszczki myślącego czoła, a na licach nieco przybladłych widać było słodycz połączoną z powagą i pewną dumą wyższego społeczeńskiego stanowiska.

Zatrwożyły młodzieńca myśli, przed chwilą na pół głośno wypowiedziane, a wstydząc się swego zwątpienia, obejrzał się w koło, iżali które ze słów jego na świadectwo słabości ludzkiej nie pozostało. Zatrwożył się jeszcze bardziej, gdy w niespodzianym gościu swoim poznał kanclerza Andrzeja Zamojskiego.

— Jeźli się nie mylę, przemówił z ujmującą słodyczą kanclerz — mam szczęście widzieć przed sobą pana Stanisława S....

— Czy mogę oczom wierzyć — zawołał młody pustelnik — wszak to najgodniejszy nasz kanclerz, jedyny mąż naszego kraju, do którego w samotności mojej zwróciło się tyle myśli, tyle marzeń?...

— Tak jest, oko twoje widzi prawdę — a że nietylko umiesz okiem ciała patrzeć, ale co większa, i okiem ducha władasz, toż jest przyczyną, że mnie dzisiaj u siebie widzisz, a widzisz przychodzącego z prożbą!

— Z prożbą? cóż to się dzieje ze mną? Kanclerz, pierwszy mąż kraju a jedyny naszych nadziei, przychodzi na poddasze starej Warszawy, aby biednemu wygnańcowi świata, prośby przedkładać?

I uderzył się młodzieniec po bladem czole, aby się prędzej z snu tak łudzącego obudzić — ale kanclerza słowa wróciły go do rzeczywistości.

— Znam twoje nauki Stanisławie, znam na jakiej drodze musiałeś je nabywać, znam co za cel szlachetny położyłeś twoim usiłowaniom. Oby cię Bóg prowadził szczęśliwie po tej drodze ciernistej, poza którą czekają cię róże nagrody!

— Więc nie marzyłem w gorączce — wykrzyknął w zachwyceniu młodzieniec — nie były to widma chorobliwe, co mnie wypłoszyły w pustynią życia, na jej piaski bezzielne, co od ust moich oderwały kielich uciech i roskoszy, a zaprawiły go octem i żółcią, aby tylko jednej myśli, jednemu uczuciu zadosyć uczynić — a jakiem jest miłość ludzkości, społeczeństwa swojego — ojczyzny! Więc nie była to myśl obłąkańca, ale myśl z natchnienia Boga, który przez ciernie i osty prowadzi człowieka do roskoszy niebieskiej!

Wpatrzył się kanclerz w roziskrzone oko marzyciela a wziąwszy go za rękę rzekł:

— Panie Stanisławie, jakkolwiek rozum twój jest stary nauką i wiedzą, serce jednak za młode, aby mogło znieść kolce rozczarowania, a w uczuciu swojem nieustać Piękna i szlachetna myśl twoja kierowałe tobą, pókiś sam sobie był światem i aktorem, ale czyż nie zwichną się skrzydła tej myśli ognistej, gdy o zimne uderzą głazy samolubstwa, złości, upodlenia i przewrotności ludzkiej?... Trzeba hartu Stanisławie, wielkiego hartu aby wytrwać przy myśli rozpoczętej, aby wytrwać nawet wtedy, gdy cię świat nie pojmie, gdy cię kałem obrzuci, a sławę twoją na pręgierzu opinii publicznej wywiesi!....

— Gdy się zwichną skrzydła myśli młodzieńczej, czołgać się będę i krwią naznaczę ślady przechodu, a kresu życia mego nie upuszczę z oka, chociaż by mnie go omgliły chmury piorunne! — Wytrwam, bo widzę, że są ludzie wyższego poglądu, że życiem swem sięgają dalej, niżeli wieczór dnia jednego.

— *Vox et vox* kochany Stanisławie, trudna jest walka z rzeczywistością. Chcę abyś zbliska tej walce się przypatrzył i w obec niej tam młode serce ustalił! Panie Stanisławie nie odmów mi tej prośby? Pójdź w mój dom, i bądź moim dzieciom tem czem ja dla narodu być pragnę. Może będą chwile, gdzie wzajem siebie wesprzemy poradą i światłem wzajemnem! Mam ja przed sobą nie mniej wielki, trudny cel, lecz spodziewam się że osiągnąwszy go, spokojnie zamknę oczy, bo ojczyzna moja się odrodzi a ja odrodzę się w tych, których ty wychowasz i ukształcisz!

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **ZTarnowskiego.** ***Przegląd ogólny gospodarstw w r. 1854*** (dokoń.) Powróćmy do naszego przeglądu. W jesieni kiedy biedzimy się z naszą gospodarką, rozwożą nam c. k. delegowani urzędnicy wolą Najwyższą zaciągnienia pożyczki na potrzeby naprężonych stosunków zewnętrznych Monarchii. Obywatele chociaż niewiedzą dostatecznie o przyrzeczeniu im, w pomoc żądanej pożyczce, dziesięcioletniej zaliczki, przystępują do niej. Jakże niestanąć tam w pełni obowiązków obywatela kraju, gdzie jego Najwyższy Rządca w całym zaufaniu, potrzeby do utrzymania honoru i bezpieczeństwa Państwa przedstawia. I dla tego chętnie, prędko, i skutecznie życzenia Najwyższe zadowolone zostały. I nie zadługo właściciele, po dziesięcioletnia zaliczkę licznie do stolicy Gubernii przybywają (co dowodem, że im bardzo na czasie przyznaną została) a odebraną, wszyscy niemal opuściwszy wysoki procent, na gotowe wymieniają, i tem łatają jak można biedę, która przecie od r. 1846 bez przerwy w gospodarstwach większych datuje się.

Reassummując cały pobieżny stan gospodarstw naszych w roku upłynionym 1854, rezultat następny przedstawiamy: Po dotkliwym przednowku, i śmierci bajecznej liczby żebractwa, do czego niechęć do pracy przeważnie przyczyniła się, zbiór średni, ceny produktów

wysokie, najemnika, chociaż wynagrodzenie stosonkowo podwyższone, niemożna dostać; dla tego uprawa roli i siew jesienny zanadto opóźnione, machiny gospodarskie, osobliwie młocarnie, licznie nabywane, finanse prywatne indemnizacyą dziesięcioletnią chwilowo podparte. Przy tem wszystkiem, po sprzątnieniu z pola ostatnich jarzyn, żebractwo zdolne do pracy znów na widownią publiczną wychodzić zaczyna.

Zestawiwszy takie okoliczności, horoskop gospodarski na rok 1855 taki podajemy:

Plaga natrętnej nędzy i w r. 1855 mało mniej od zeszłego nawiedzi nas. Po siewach późnych, plonu, jaki bywał, niespodziewajmy się. Po podniesieniu cen robocizny, niemyślmy o ich zmniejszeniu; ale przygotujmy się z rezygnacyą do tego bardzo potrzebną, że rąk do pracy co raz mniej mieć będziemy, gdyż przednowku tyle dotkliwego co w r. 1854 niebędzie. Czeladź że będzie więcej przechodową, wędrówki jakby rzemieślnicze odbywającą, możemy być pewni, a przedewszystkiem, dla pamięci zapiszmy zaraz na czele ksiąg kassowych r. 1855: na „debet" pożyczkę przyrzeczoną, z „credit" zaś wymażmy indemnizacyą dziesięcioletniej zaliczki, już odebraną.

I.... K. ...

*** Z nad Sanu.** Jeżeli kiedy, to pewnie tego roku na jednostajność narzekać nam się niegodzi. Czyli zaś ta rozmaitość odnosząc ją jedynie do stanu atmosfery bieżącego roku w naszych stronach, zadowolnić by kogo zdołała, niechaj ten sądzi, kto tak jak ja oddalony o kilka mil od miasta, w ustroniu, skazanym został na przesiedzenie całemi dniami pod piecem, niemogąc — dzięki tej rozmaitości! nawet nosa za próg wychylić w obawie, by w miejscu, gdziem dziś w śnieżnej zamieci zagrzązł po uszy, na zajutrz podobnie w kałuży się nieskąpał. Deszcz, powietrze mgliste, ciężkie, duszne, zgniłe, — jutro przy lekkim mrozie śnieg w towarzystwie prawdziwie szalonych i dawno już niepamiętnych wichrów; oto są przyjemności któremi hojnie rok bieżący nas obdarza. I jak tu przy takim czasie za nowinami uganiać? Boć przecież same niebędą tak grzeczne odwiedzić cię na twojem pustkowiu. I one lubią ruch, życie, więcej ludzi; w zaciszu rzadko i niechętnie się gnieżdżą. Z resztą Bogiem a prawdą, cóż się u nas na wsi wydarzyć by mogło, co by was ludzi wielkiego świata bliżej zainteresować miało, nieobrażając oraz zbyt drażliwych nerwów waszych?... Zdarzają się u nas wypadki, i to dość traiczne, z któremi się atoli człowiek, napotykając je oniemal codziennie, jak doktór co już na nie jednym trupie stępił swój nożyk anatomiczny, powoli oswoić musi. I tak: ten przepuściwszy ostatni skradziony czy zapracowany grosz w karczmie, wracając do domu zasnął pod płotem.... na wieki. Ów niechcąc chodzić na zarobek do dworu, dokończywszy dziś pod piecem ostatniego kawału suchego chleba, jutro pod tym samym piecem zakończa nieczynny swój żywot. Trzeci, zwolennik komunizmu francuskiego, wyciągając rękę po miarkę ziarna sąsiada, dość jeszcze szczęśliwie, bo tylko z podbitem okiem, przełamaną ręką i bez butów przyczołgał się do chałupy z tej naukowej wycieczki. O! bo nasz wieśniak trzeba wiedzieć, jak z jednej strony rad sam w pańskim worku umaczać rękę, tak z drugiej strony nieprzepuszcza żadnemu, co by się śmiał targnąć na jego własność, niemając najmniejszej litości dla złodzieja, złapanego na gorącym uczynku. Liczne są tego przykłady; lecz pominąwszy inne, wspomnę tu o najświeższym wypadku, który się niedawno w naszych stronach wydarzył. Solarze powracając nocą z zakupioną solą z Lacki, złapali złodzieja właśnie w chwili, gdy przedziurawiwszy jeden półkoszek, zwolna im soli ujmować poczynał. Niedebatując długo nad wymierzeniem przynależnej mu kary, bez dalszej apellacyi związali go i ubili kijami na miejscu, a lud prosty, ktory każdego niezwykłego zjawiska natury chcąc widzieć namacalną przyczynę, szuka ją w bieżących wypadkach, przypisuje temu zdarzeniu następne zawieje.

Jak w ogóle, tak i u nas lud zabobonny, ciemny, — jakkolwiek pod wielu względami niemożna mu odmówić pewnego dowcipu i zdrowego rozsądku, i o ile podejrzliwy aż do przesady wchodzić w jakąkolwiek styczność z każdym, co tylko w kapocie nie chodzi, o tyle łatwowierny w każdym innym razie; żyjąc prócz tego jeszcze ciągle pod wpływem setnych bajek i gawęd, utkanych na tle dziwacznej i cudownością nacechowanej wyobraźni, zbyt często popada w sidła pojedyńczych szalbierzy i szarlatanów wiejskich, którzy, znając dobrze jego słabą stronę, nieomieszkują z niej przy każdej sposobności korzystać.

Są to po większej części „ze złych-najgorsi," nałogowi pijacy, złodzieje, zbyt leniwi, by poczciwym zarobkiem pracować na kawałek chleba; lecz z drugiej strony zbyt zapobiegliwi i mający zawsze na pogotowiu tysiączne wybiegi, by raz uzyskaną sławę niestracić, i tak tanim kosztem a niewielką pracą zapewnić sobie codzienny kieliszek wódki i strawę. Któż niesłyszał o owych czarownicach górskich, które każdej chwili są w stanie, nietylko uzdrowić bydlę pokąsane od węża, odmawiając nad niem jakieś dziwaczne i pewnie im samej niezrozumiałe wyrazy, lecz prócz tego jeszcze gdzie im się podoba, naprowadzić podobną gadzinę? Podobnież w Wuśku, kolonii niemieckiej w okolicy naszej, jak niesie podanie, ma jeszcze dotychczas istnieć niemiec, który jakąkolwiek chorobą dotknięte bydlę jedynie odczytaniem nad niem z jakiejś cudownej książeczki kilku wyrazów, do zupełnego przyprowadza zdrowia. Że wiara nieraz ludzi uzdrawia, to wiemy; lecz czy i czworonożne istoty pod to same zdanie podciągnąć można?.. niech sądzi czyja wola. Przypuszczam, iż podobne indiwidua mogą być w posiadaniu tej lub owej, od naturalistów pominionej lub mało cenionej rośliny, za pomocą której uzdrawiają bydlę; lecz żeby ten sam skutek jedynie kilka słów wypowiedzianych sprawiało, podobne zdanie sprzeciwiać się musi każdemu zdrowemu rozsądkowi.

Z wyż nadmienionych przyczyn ludowi prostemu jeszcze jako tako przystoi dać wiarę podobnym baśniom, ależ z jakiej strony poglądać dziś na ludzi, opowiadających podobne niedorzeczności z najzupełniejszą wiarą, którzy roszczą sobie pretensyą do jakiej takiej oświaty?

Otóż to tym argumentem zajechałem pewnemu jegomości, który mi z najnaiwniejszą w świecie miną opowiadał o jakimś tam chłopie czy mieszczanie, przebywającym w miasteczku Krzywce, i posiadającym jakiś tajemny sposób — zapewnie nieoszacowany i wielce pożądany dla każdego wiejskiego gospodarza — trzymania w przyzwoitem oddaleniu od wszelkich ziemiopłodów każdego rodzaju ptactwa. I jakąż odebrałem odpowiedź? Mój jegomość zerwał się jak oparzony z miejsca, potarł po krótkiej i... niestety! — już szpakowatej czuprynie, i patetycznym głosem przedeklamował mi wiersze Kochanowskiego:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie.
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
Zginie, i nie będzie umiał w to ugodzić.

I zadowolniony sam z siebie, że tak na razie zdobył się na wyborny dowcip, już pociągnął po raz drugi z tryumfującą miną dłoń do swej przemądrej czupryny, by z niej jaką drugą podobną odpowiedź może z Hamleta wydrapać, i tak do reszty spędzić mię z pola, lecz na nieszczęście sam jakoś uprzedziłem życzenie jego, czmychnąwszy ciehaczem za próg, na bryczkę, i do domu.

Tegoroczny karnawał do zabaw nie wiele rości nadziei, a choć w naszych stronach wszędzie po dworach Kawaleryi pełno, lecz jakoś płeć piękna niewiele do tańcu okazuje ochoty. Powtóre Jubileusz tegoroczny i trudność dostania się ze wsi do wsi z powodu złych dróg i ustawicznych zamieci, stawał na przeszkodzie zapustnym pohulankom. Kogóżby wreszcie szczera zbierała chętka bawić się i

dawnym zwyczajem kuligi wyprawiać, podczas gdy wypadki polityczne raz już zaostrzywszy ciekawość, całkiem gdzieś w inną stronę zwracają myśli i życzenia.

* Jakoś tego roku nie bardzo ochoczo rozpoczął się karnawał. Po domach prywatnych wprawdzie bawią się nie źle, lecz bale publiczne dotąd nie są ożywione. Spodziewają się iż bal na korzyść sali ochronek wypadnie pomyślniej, w przeszłym roku bowiem był to jeden z najpiękniejszych. Bal ten odbędzie się w niedzielę. Bal na korzyść ciemnych będzie 3. lutego. Oprócz balu drugiego strzeleckiego, 6. lutego, na strzelnicy będą jeszcze dwa bale, jeden na korzyść nowo urządzającego się domu ubogich, a drugi na korzyść funduszu pożyczki dla rzemieślników.

* Z balów, które zamierzali dać słuchacze prawa nic nie będzie bo wielka część młodzieży jest temu przeciwna, wychodząc z tej zasady, że nie pilnować im zabaw, lecz nauki.

* Świeżo wydany poemat Pola: Mohort, stoi niezaprzeczenie wyżej od wszystkich dotąd znajomych utworów tego poety Są w nim piękności przecudne, są ustępy swą poetyczną wzniosłością chwytające wszystkich za serca. Rozbiór i wyjątki z tego poematu podamy w następnych numerach

* Podług bardzo trafnie zrobionej fotografii litografował pan Fr. Tepa portret s. p. Jana Nepomucena Kamińskiego. Portret ten wydany staraniem i nakładem J. Gołębiowskiego, byłego artysty sceny polskiej, wyjdzie z końcem tego miesiąca i będzie dla wszystkich miłą po zmarłym tyle zasłużonym mężu pamiątką.

Przyjechali od dnia 22. do 24. Stycznia do Lwowa.

PP. Winnicki Ludwik, z Wierzbicy. Korzeniowski Aleksander, z Machnowa. Antoniewicz Wincenty, ze Skwarzawy. Czermiński Juliusz, z Glińska. Miliński Franciszek, z Helenkowa. Zminkowski Józef z Brzeżan. Pilichowski Józef i Piotr, z Dytkowiec. Kozłowski Zygmunt, z Cieszan. Krajewski Nikazy, z Turzego. Tatarkowski Mateusz, z Drohomyśla.

PP. Past Feliks, z Brzeżan. Lityński Wenanty, z Litwinowa. Michałowski Stanisław, z Krakowa. Gruszczyński Antoni, z Krowicy hołodowskiej. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. z Poturzycy. Ośmiałowski Szymon, z Janczyna. Studziński Adolf, z Tarnopola.

Wyjechali dnia 22. do 24. Stycznia ze Lwowa:

PP. Krzeczunowicz Ignacy, do Jaryczowa. Ochocki Cypryan, do Remenowa. Augustynowicz Bolesław, do Kniaża.

PP. Łomnicki Karol, do Waręża. Krasicki Jan, hr. Jaruntowski Antoni i Jan, do Rymanowa. Kraiński Maurycy, do Żółkwi. Pietruski Teofil, do Rymanowa. Starzewski Ignacy, do Łopatyna. Bocheński Józef, do Rymanowa. Chwalibóg Jan, do Lipowiec. Rylski Wincenty, do Zagórza.

Kurs telegrafowany z Wiednia 24 b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr. .	127 7/8	Pożyczka 5% 83 9/16 4 1/2	72 5/8
Hamburg za 100 tal. banco	93 7/8	Akcye banku	1026
Londyn za 1 funt szterl.,	12 20	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	74 3/4
Paryż za 300 franków .	148 3/8	Nowa pożyczka z loteryą	102 1/8
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	87 7/16

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	54	złr.	5	kr.	56
Dukat cesarski	«	5	»	57	»	5	«	59
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	13	»	10	«	15
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	59	«	2	»	—
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	91	«	10	»	91	«	30
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.		76	»	—	»	76	»	20

Do dzisiejszego Numeru dołączona jest Treść nowo wyszłego dzieła Kuchnia polska przez Józefa Schmidta.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**